

JOANNA BARTOŃ

NISKOROSŁA



Gauka

Niskorosła



Joanna Bartoń

Rocznik 1984. Dzieciństwo spędziła w Lubinie, a niemal całe dorosłe życie we Wrocławiu; tu studiowała filologię romańską (rzuciła) i psychologię (ukończyła). Zdążyła przetestować kilka ról zawodowych, ale od zawsze chciała pisać. Nakładem wydawnictwa JanKa ukazały się jej dwie powieści: *Do niewidzenia, do niejutra* (2015) oraz *Drzazgi* (2018).

Joanna Bartoń
Niskorośla

Copyright © Joanna Bartoń, 2021
Copyright © wydawnictwo JanKa, 2021

Wydanie I – cyfrowe
Pruszków 2021

ISBN 978-83-62247-77-6
[fregment promocyjny]

„Mali ludzie mają małe domki z piasku
i maleńkie samochody z plasteliny...
Mali ludzie mają bardzo mało czasu,
bo maleńkie są zegary i godziny...”

Janusz Słowikowski, *Parasolki*

Więżniarka

Jestem morderczynią, karlicą, kobietą i człowiekiem. W tej kolejności. Może dlatego kierowca więźniarki prowadzi tak, jakby miał na pokładzie wór kartofli, a nie tego ostatniego.

Przed nami droga z Aresztu Śledczego w Legnicy do Zakładu Karnego w Kluczborku. Dwieście kilometrów. Jakies dwie i pół godziny jazdy. Trochę czasu, by przemyśleć swoje życie i spróbować nadać mu choćby cień sensu.

Niska ja

Mam sto trzydzieści siedem centymetrów wzrostu, co oznacza, że zaliczam się do osób z tak zwaną achondroplazją. Prościej – z karłowatością wrodzoną. Mierzę sobie tyle, ile przeciętna dziewięciolatka. Choć lat mam trzydzieści sześć.

Czy to w jakiś sposób zmienia moje życie? Odpowiadam: to zmienia prawie wszystko.

Jestem ciekawostką przyrodniczą, którą można spotkać w autobusie czy sklepie. Z niechęcią poddaję się obserwacji. Poddaję się, bo nie mam wyjścia. Na życzenie przecież nie urosnę.

A ci wszyscy gapie chcą mnie małej. Z głową na wysokości ich piersi. Ze szpotawymi kolanami i spłaszczonym czołem i nosem. Z wszystkim tym, co składa się według nich na bycie prawdziwym karłem.

No więc jestem nim. (...)

Urodziłam się dwudziestego trzeciego marca tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego czwartego roku w Wojewódzkim Szpitalu Specjalistycznym w Legnicy. Na początku wyglądałam normalnie – byłam brzydkim, pomarszczonym noworodkiem, który płaczem sygnalizował całemu światu swoje niezadowolenie z faktu pojawienia się na nim. Dostałam dziewięć punktów w skali Apgar, bo miałam lekko zasinione kończyny. Te, które potem okazały się za krótkie. Ale na razie wszystko wydawało się w normie. Zawinęli mnie w ciasny biały becik, a potem pokazali mamie.

Zakochała się we mnie od pierwszego wejrzenia. Tak mówiła. Ponoć łypnęłam na nią jednym okiem, mlasnęłam, a potem smacznie zasnęłam.

Niedługo potem rodzice dowiedzieli się, że jednak nie wszystko ze mną w porządku. Wyobrażam sobie, że mogło to wyglądać tak:

– Wielkogłowie z wypukłością kości czołowej, hipoplazja środkowej części twarzy. Ja tu widzę wyraźnie wadę rozwojową... – orzekł jeden z lekarzy położników w czasie obchodu dobę po porodzie.

– Jaką wadę? – zapytał przytomnie mój tata.

– Achondroplazja – stwierdził sucho położnik.

– Czyli karłowatość – wtrąciła szeptem pielęgniarka.

– Skrócenie części proksymalnych kończyn – dodał lekarz.

– Nie rozumiem, czy mógłby pan... – powiedziała mama.

- Skrócenie kości długich – wyjaśniła pielęgniarka.
 - W każdym razie, gdyby wykonano odpowiednie badanie prenatalne, wiedzieliby państwo o wadzie płodu już dawno temu. Mielibyście wtedy prawo do terminacji, a tak to musicie teraz jakoś dźwigać ten krzyż.
 - Nie rozumiem – wyszeptał tata.
- Mama i tata nic nie rozumieli aż do momentu, kiedy usiedli razem w kuchni i popatrzyli sobie głęboko w oczy. Wtedy przyszedł szloch i zrozumienie.
- Przeplakali pół nocy i był to cały zasób ich łez dla tematu achondroplazja. Następnego dnia obudzili się wojownikami o moje godne życie.

Wysocy oni

Przypomina mi się, jak kiedyś na mój widok w histerię wpadła dziewczyna w zaawansowanej ciąży. Próbowalam ją jakoś pocieszyć i uspokoić, ale było coraz gorzej. W końcu od świadków tego wydarzenia usłyszałam, żebym sobie lepiej poszła.

Dopiero wtedy zrozumiałam, że chodzi o przekaz ustny: gdy kobieta ciężarna spojrzy na karła, urodzi go. To tego się przestraszyła.

Po zastanowieniu przyznaję, że jest czego.

Niska ja

Zawód wyuczony: psycholog. Zawód wykonywany: stacz kolejki. Tak właśnie – stacz, a nie staczka.

Cała zabawa polegała na tym, że stałam w kolejkach do lekarzy za tych, którzy z jakichś powodów nie chcieli bądź nie mogli tego robić. Brałam czterdzieści złotych za godzinę stania. Niektórzy mówią, że za dużo. Ja powiem, że adekwatnie do ponoszonych przeze mnie kosztów. Psychicznych i fizycznych.

Wiadomo, że najtrudniej dostać się do kardiologa, neurochirurga, neurologa i endokrynologa. Trochę łatwiej zapisać się do ortopedy, ale co to jest te osiem miejsc, jak ludzi schorowanych jest pięć razy więcej. Mój rekord to dwanaście godzin stania w celu rejestracji do znanego wrocławskiego neurologa.

Czy zawód stacza kolejkowego to moja wymarzona profesja? Oczywiście, że nie. Wcześniej przez prawie dwa lata usiłowałam znaleźć pracę w zawodzie. Sprawa zawsze kończyła się tak samo: spontanicznym grymasem osoby rekrutującej, w ślad za którym szła odmowa.

To było nawet zabawne, obserwować, jak rekruterzy usiłują udawać, że moja karłowatość nie robi na nich wrażenia. Zdradzały ich rozbiegane spojrzenia, drżący głos, tańczące bez ładu i składu dłonie. Widać było jedno: chcą jak najszybciej zakończyć rozmowę i wrócić do świata ludzi w standardowym rozmiarze.

– Pani mocne strony? – zapytała pewnego razu czterdziestoletnia na oko rekruterka, przyglądając się swoim paznokciom.

– Proszę opisać swoje doświadczenie w pracy psychologa – zażądała inna.

– Nie mam go – odpowiedziałam zgodnie z prawdą.

– To znaczy?

– Nie mam doświadczenia, bo jeszcze nikt nie dał mi szansy, żebym mogła je zdobyć – wyjaśniłam zgodnie ze stanem faktycznym.

– Rozumiem – usłyszałam w odpowiedzi.

Zrozumienie zrozumieniem, ale żadnej pracy i tak nie dostałam. Niektórzy z rekrutujących zostawiali mi ochłap nadziei, mówiąc na koniec rozmowy: „Zadzwonimy”. Nigdy nie patrzyli mi przy tym w oczy. Ich wzrok ślizgał się po biurku lub po ścianie za mną. To drugie sprawiało, że przez moment czułam się niewidzialna.

W ciągu dwóch lat byłam na sześćdziesięciu rozmowach kwalifikacyjnych. Z odpowiedzią negatywną zadzwoniło do mnie dwóch rekruterów.

Zawód stacza kolejkowego wymagał ode mnie rozsądnego gospodarowania czasem i siłami. I nie tylko. Szesnastego marca czekał mnie na przykład długi poranek w kolejce do rejestracji Wojewódzkiego Szpitala Specjalistycznego w Legnicy. Do notesu zleceń wpisałam:

Klientka – Irmina Dzięcioł

Lat – pięćdziesiąt osiem

Nr pesel – 61022005685

Specjalista – ortopeda.

To, że któregoś dnia w kolejce do lekarza specjalisty wybuchnie chryja ze mną w roli głównej, dość szybko stało się dla mnie oczywiste. Wystarczył punkt zapalny pod postacią rozgorzconego pacjenta.

Trudno mu się dziwić. Przychodząc do rejestracji o piątej rano, nie spodziewał się na pewno ani tłumku osób, ani tym bardziej karlicy na jego czele. Realia były następujące: mimo wczesnej pobudki nie załapał się do ortopedy z powodu ograniczonej (do ośmiu) liczby miejsc. Spóźnił się o jedną osobę. Szybko znalazł winnego takiego stanu rzeczy – był nim profesjonalny stacz kolejkowy, czyli ja.

– Z jakiej racji zajmuje pani miejsce do lekarza, nie będąc pacjentem? – zapytał, co pamiętam, jakby to było dziś.

– Uprawiam mój zawód.

– Można wiedzieć jaki?

– Stacz kolejkowy.

– Nie ma takiego zawodu, proszę pani.

– Owszem, jest.

– Nie sądzę.

Niestety, Powiatowy Urząd Pracy w Legnicy podzielał zdanie rozgoryczonego pacjenta, bo kiedy chciałam zarejestrować swoją działalność gospodarczą, odmówiono mi, tłumacząc, że zawód stacza kolejkowego nie istnieje. (...)

Więźniarka

Niestety, przez to, co zrobiłam, muszę pożegnać się z rolą stacza kolejkowego na trzy lata. I nie tylko z tą rolą, bo zostałam także zawieszona w swoich obowiązkach jako żona i matka. Teraz jestem już tylko więźniem. Skazańcem.

Konwojują mnie do Zakładu Karnego w Kluczborku, gdzie odbędę wyrok za odebranie życia drugiemu człowiekowi. Prawomocny. (...)

Zastanawiam się, jak fakt, że poddałam się w dzieciństwie zabiegom wydłużania kończyn, wpłynął na moje życie. Interesuje mnie zwłaszcza odpowiedź na pytanie: czy gdybym tego nie zrobiła i była niższa o te dwadzieścia centymetrów, zostałabym czyjąkolwiek kochanką? A może te sto siedemnaście centymetrów

wzrostu to byłaby już ta granica, której żaden normalny mężczyzna nie chciałby i nie umiał przekroczyć? Całkiem możliwe.

Tymczasem mam te swoje sto trzydzieści siedem centymetrów wzrostu i tyle mi wystarczyło, by wzbudzić pożądanie. To, które skończyło się tragicznie.

Niska ja

W piątej klasie szkoły podstawowej miałam przezwisko Robocop. Wszystko przez aparat Ilizarowa, który nosiłam na kościach ramiennych, udowych i łydki, by się wydłużyły. Bywało i tak, że miałam zamontowane dwa aparaty jednocześnie – jeden na ręce, drugi na nodze – co było dosyć dokuczliwe, no ale czego się nie robi dla przyrostu jednego milimetra na dobę. W sumie dzięki tej metodzie zyskałam – tylko i aż – dwadzieścia centymetrów wzrostu.

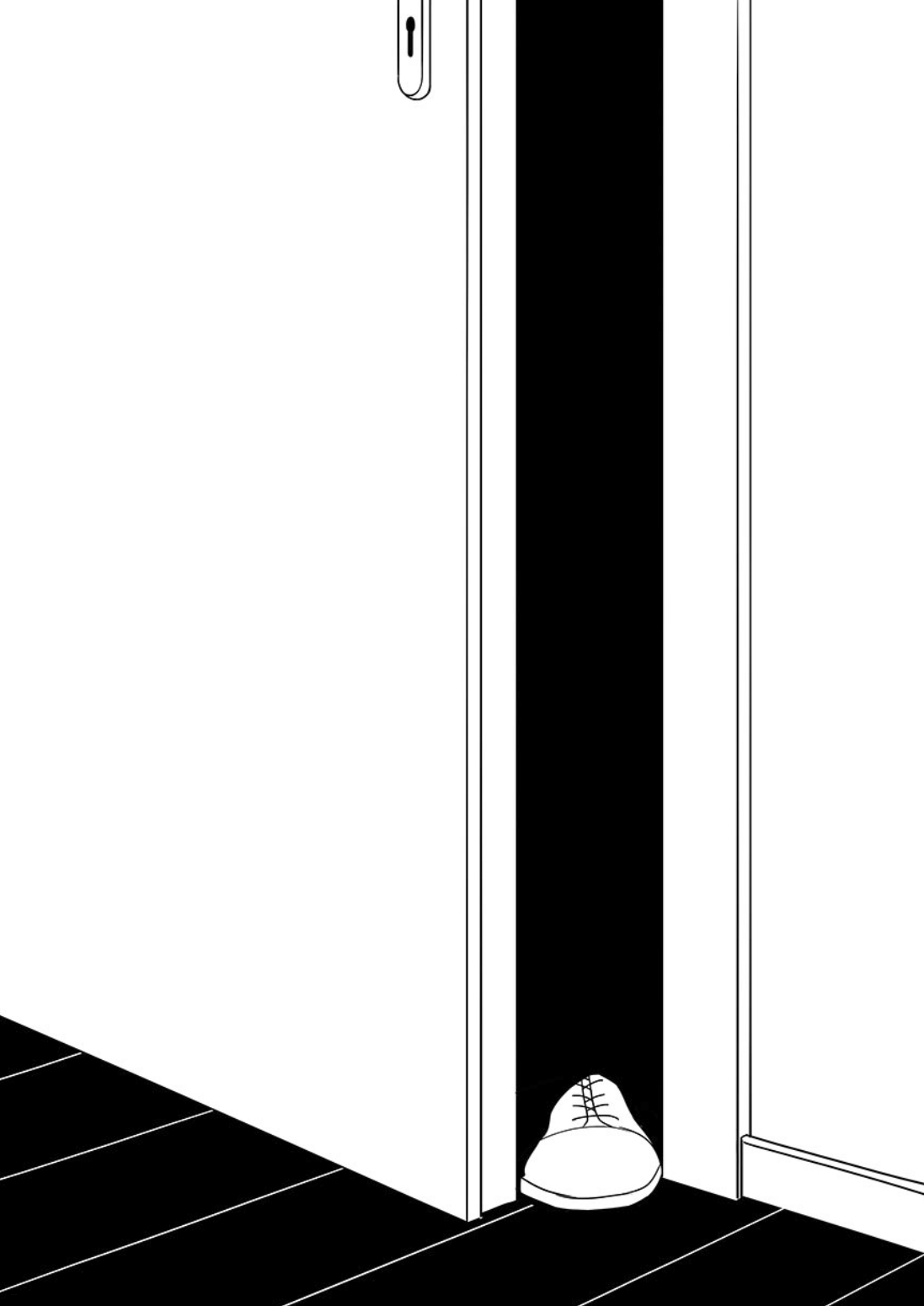
Zabiegom wydłużania kości za pomocą aparatu Ilizarowa poddałam się w piątej klasie podstawówki. Polegały one na przecięciu kości bez naruszania ciągłości okostnej, a następnie stopniowym odsuwaniu od siebie powstałych fragmentów za pomocą rusztowań aparatu.

Dla mnie cały proces oznaczał noszenie niezbyt komfortowego żelastwa na kończynach i konieczność rehabilitacji. Pamiętam, że powodowane tym przykrości znosiłam bez najmniejszej skargi. Najważniejsze było dla mnie to, że „rosłam” o jeden milimetr na dobę. Nic innego się wtedy nie liczyło – nawet rozpierający ból w obydwu nogach.

Dzięki wydłużaniu zyskałam więc łącznie dwadzieścia centymetrów wzrostu. Czy taki rezultat był warty wielomiesięcznego bólu zadrutowanych kończyn? W moim przekonaniu tak, ale wiem, że wielu niskorosłych myśli inaczej. Niektórzy są przeciwni jakiegokolwiek ingerencji medycznej poza ćwiczeniami fizycznymi. Inni uważają, że ból towarzyszący wydłużaniu jest zbyt dokuczliwy i wiąże się z wyjęciem z życiorysu co najmniej roku. Coś w tym musi być, bo moja pamięć z tamtego okresu szwankuje. Może to wyparcie tego, co najgorsze? Jest ból, jest znój, ale nie ma tragedii? Jeśli tak, to na całe szczęście.

Najbardziej boli mnie, że zazdrozczę normalsom wzrostu, czegoś, na co zupełnie nie miałam wpływu. Jedni ludzie ot tak urosli, a ja nie. I nikt z nas na to nie zasłużył. Wzrost nie został im za coś dany, a mnie odebrany, bo nie jest ani nagrodą, ani karą. Jest stanem faktycznym.

Wzrost to tylko wzrost, powtarzałam sobie. Po co w takim razie dałam sobie na wiele miesięcy zadrutować nogi? Choć byłam dzieckiem, to był mój świadomy wybór – na tamtym etapie. Rodzice próbowali mnie zniechęcić – bez skutku. Myślałam jedynie o tym, by jak najbardziej upodobnić się do Wysokich. Dlaczego? Bo im zazdrościłam. Czego? Wzrostu. I to się nie zmieni. Choćbym dowodziła na dziesięć sposobów, że jest nieważny.



Okładka i ilustracje:
Adam Walas

Zdjęcie autorki:
Tomasz Bartoń

Redakcja i korekta:
Janina Koźbiel, Jan Koźbiel

Skład i łamanie:
MJK

ISBN 978-83-62247-77-6
[fragment promocyjny]

Wydawnictwo JanKa
ul. Majowa 11/17
05-800 Pruszków
694 536 051
wydawnictwo@jankawydawnictwo.pl
www.jankawydawnictwo.pl

Zawsze mnie ciekawiło, jak żyje się ludziom nie-standardowego wzrostu. Co czują? Jak mieszkają? Jak kochają? Jak są traktowani? Jak próbują być szczęśliwi? Okazało się, że w Polsce jeszcze nikt o tym nie pisał. Postanowiłam oddać głos osobom z karłowatością, które spotykałam na swojej drodze. Panu z autobusu, którego – będąc dzieckiem – bardzo się bałam. Kobiecie z okolic wrocławskiego dworca. Chłopakowi proszącemu o datek pod osiedlową Biedronką. Mam nadzieję, że próbując patrzeć ich oczami i fantazując, dotykam kilku prawd o każdym człowieku.



Joanna Bartoń znów zaskakuje. Potwierdza, że wybrała uprawianie literatury oparte na paradoksach, ale mówi o sprawach podstawowych: miłości, śmierci, przyjaźni, wierności i zdradzie. Bohaterką swojej opowieści czyni morderczynię, karlicę, kobietę, człowieka – w jednej osobie, ale „dokładnie w takiej kolejności”. Czytelnika próbuje skłonić do uruchomienia i wyobraźni, i empatii, dając mu tylko preteksty do ich ożywienia. Nie psychologizuje, nie dramatyzuje i nie moralizuje. Opowiada powściągliwie, naraz z dwóch perspektyw – zbrodniarki i ofiary – i zmusza do zderzenia z wielością stereotypów i klisz, z obrazami ludzi, którzy są jak figurki w komiksie albo w teatrze cieni. Mniej japońskim czy chińskim, a bardziej polskim jednak.



ISBN 978-83-62247-77-6



9 788362 247776